

ANNA J. SZEPIELAK



Barwna opowieść historyczna z czasów złotej epoki Jagiellonów o trudnej drodze na tron i wielkiej miłości.

# PIĄTY KRÓL

SERCE W KORONIE



ANNA J. SZEPIELAK

PIĄTY  
KRÓL

ZYGMUNT I ZWANY STARYM

FILIA



„Jesteś jak piąty król w talii kart.  
Niepotrzebny do rozegrania partii i odrzucony na ubocze!”

Anna J. Szepielak, *Miłość i tron*



## Wstęp

---

### Czterdzieści siedem lat później...

**1 kwietnia Anno Domini 1548,**

**Niedziela Wielkanocna,**

**Kraków**

Za oknami komnaty szumiał wiosenny deszcz. Jego kojący monotony dźwięk łączył się ze szmerem cichych modlitw wypełniających królewską sypialnię. Pobożny szepet najwierniejszych dworzan i dostojników Korony unosił się aż pod sklepienie razem z dymem kopcących woskowych świec.

Słabe dzienne światło, które przyniósł szary poranek, prawie nie docierało do środka. Wnęki okienne przysłonięto dla ciepła zieloną materią pasującą odcieniem do ściennych tapiserii haftowanych złotem. Migotliwe błyski ognia płonącego w kominku odbijały się w tych złocistych

wzorach, połyskując niczym drobne gwiazdy widoczne nocą przez korony gęstego boru.

Czuwająca u wezgłowia łoża królowa zdawała się jak inni pogrążona w modlitwie. Z nieobecny wyrazem twarzy przesuwała w palcach kolejne różańcowe perły, ledwie poruszając przy tym ustami. Nikt poza nią nie wiedział, że robiła to zupełnie odruchowo. Zatopiona w myślach, przebiegała oczyma wyobraźni po ozdobnych krużgankach Wawelu, jej Wawelu – od trzydziestu lat jej domu, z tak wielkim mozołem przebudowanego po pożarze na rozkaz króla według najnowszych włoskich wzorów. Dobrze wiedziała, że w zamkowych salach gromadzili się od świtu dworzanie. Niestety, tym razem nie po to, by z radością witać świąteczny dzień, lecz by nasłuchiwać ponurej ciszy płynącej z apartamentów króla w Kurzej Nodze<sup>1</sup>.

Gdy po raz pierwszy ze swym nowo poślubionym małżonkiem obchodziła w Krakowie uroczystość Wielkiej Nocy, słoneczny dzień witał ją jako młodą, budzącą zachwyty władczynię, która miała dać temu królestwu następców tronu co najmniej tak licznych jak jej zmarła świekra<sup>2</sup> – uwielbiana przez poddanych Elżbieta Rakuszanka.

Jednak tego roku deszczową Niedzielę Wielkanocną królowa rozpoczynała pełna niepokoju i bardzo złych

---

<sup>1</sup> Kurza Noga – komnata z czasów kazimierzowskich należąca do apartamentów króla, mylona z Belwederkiem, czyli tzw. Kurzą Stopką.

<sup>2</sup> Świekra – dawniej matka męża, dziś teściowa.



przeczuć. Od wielu dni i nocy wpatrywała się bowiem w bladą twarz słabnącego w gorączce męża. A to, co widziała, przyprawiało ją o drżenie serca.

Zawsze stanowczo odsuwała od siebie myśl, że kiedyś nadejdzie moment, gdy ów krzepki i zaskakująco zdrowy jak na swój wiek mężczyzna straci siły do życia. Z tego powodu pierwsza niedyspozycja króla przed laty przykro ją zaskoczyła. Od tamtej pory nie mogła już dłużej ignorować faktów. Powtarzające się, uciążliwe dolegliwości męża coraz wyraźniej podkreślały dzielącą ich różnicę wieku.

Mimo upływu czasu wciąż mogła bez kokieterii uważać się za urodziwą niewiastę i robiła wiele, by ten stan utrzymać. Król natomiast z wrodzoną sobie łagodnością i opanowaniem po prostu zaakceptował pogarszające się zdrowie. Miała mu to za złe. Chciała, by walczył o siebie dla niej, dla królestwa. Wspierała go więc, jak mogła, gdy nie była akurat w jednej ze swych licznych podróży. Dodała mu sił, dbała o jego potrzeby i czujnie patrzyła na ręce medykom, do których nie miała najmniejszego zaufania. Być może dlatego za każdym razem podnosił się z łoża ozdrowiały, ku radości bliskich. Nie bez dumy uważała, że robił to przede wszystkim dla niej.

Nawet po latach wspólnego życia wciąż zdarzało się jej dostrzec w jego oczach ten osobliwy błysk będący mieszaniną admiracji i pożądania. Schlebiało jej to. Czuła wtedy

w sercu ciepło, które dawniej w uniesieniu nazywała miłowaniem, leżąc w uścisku jego silnych obnażonych ramion.

Czy to, co ich łączyło, mogła w istocie nazwać miłością? Lubiła myśleć, że tak. Że politycznie zaaranżowane małżeństwo okazało się po ludzku szczęśliwe. Nie roztrząsała tego wszakże. W odróżnieniu od irytująco spokojnego króla żał jej było czasu i energii na niepotrzebne deliberacje.

W ostatnich tygodniach jej starania i wpływ, jaki zawsze miała na męża, przestały jednak dawać efekty. Mimo troskliwej opieki i pomocy medyków król słabł. Przerażało ją to. Wśród wielu jego zalet i wad znajdowała się bowiem jedna cecha, jedna siła, której zawsze się lękała – jego niepojęty upór.

Tylko król wiedział, dlaczego ustępował jej w tysiącach różnych sytuacji, a innym razem z nieodgadnioną miną patrzył na nią długo, po czym bez żadnych wyjaśnień mówił stanowczo: „Nie, basta”. A wtedy ni płaczem, ni złością czy przymilną prośbą nie mogła już nic wskórać. Gnębiło ją zatem przekonanie, że w chwili, gdy mąż ostatecznie podda się chorobie, tylko cud zdoła odmienić ich los. A ona nie wierzyła już w cuda. Ta wiara umarła wraz z małym Olbrachtem, którego wiele lat temu zabiła przez własną pychę i nierozwagę.

Chociaż nie potrafiła się do tego przyznać, czuła się winna wobec króla i dynastii, bo nie zdołała spełnić pokładanych w niej nadziei. Kogóż innego miałyby winić za to,

że ona – zdrowa, piękna księżniczka z gorącej Italii – nie urodziła swemu mężowi tylu synów co kaleka a brzydka królowa ze znienawidzonego przez nią rodu Habsburgów?

Opuszczając rodzinne księstwo Bari, ślepo wierzyła, że bez trudu przerośnie słynną Rakuszanekę w tym dziele. A jednak się nie udało. Mogła tylko westchnąć z ulgą, że nigdy nie miała okazji poznać dumnej królowej matki. Dzięki temu jako młoda niewiasta nie musiała dzielić z nią zamku i znosić ewentualnych przykrych aluzji. Doskonale wiedziała, że na miejscu swej świekry – matki królów – nie miałyby wiele wyrozumiałości dla synowej rodzącej głównie córki. Choć i tak czuła się dla polskiego królestwa bardziej użyteczna niż jej własna, nieżyjąca już synowa: chora na epilepsję i bezpłodna Habsburżanka.

Ale czy to mogło być dla niej pocieszeniem? Nie. Na Wawelu od lat otaczały ją plotki i złośliwość dworzan. Komu miała się poskarżyć na tych wszystkich szlachetków i magnatów, gromadzących się teraz jak sępy w komnatach zamku? Zawsze z takim szacunkiem wspominali poprzednie władczynie, a jej nienawidzili. Większość z nich tylko czekała na okazję, by rzucać jej kłody pod nogi. Dobrze wiedzieli, że bez króla u boku straci gros swojej władzy – ciężko wywalczonej niewieściej władzy – w tym dziwnym królestwie, w którym nawet Jadwidze Andegaweńskiej, „pani przyrodzonej” z krwi Piastów, samodzielnie rządzić nie pozwolono. Chociaż upłynęło niemal sto pięćdziesiąt

lat od tamtych czasów, nic się pod tym względem w Polsce nie zmieniło.

Królowa westchnęła rozgoryczona. Jej małżonek miał osiemdziesiąt jeden lat, ona pięćdziesiąt cztery. Nawet jeśli król ponownie zbierze siły i wyzdrowieje, jak długo może ją jeszcze wspierać? Gdyby przepowiednie kolejnych nic niewartych astrologów ziściły się choć w części, miałyby teraz przy sobie licznych synów, którzy w obliczu choroby ojca broniliby matki przed zawistnym tłumem dworaków. Lecz wobec przeciwności losu była sama. Jak zwykle – całkiem sama.

Od trzydziestu lat walczyła o dobro tej krainy, ale nikt poza królem tego nie doceniał. Nawet jej stronnikom chodziło głównie o własne korzyści. A ona budowała, reformowała, naprawiała. Pragnęła zostawić jagiellońskiej dynastii dziedzictwo bogate i mocarne, by wspomniano ją dobrze po wsze czasy. Dla siebie chciała tak niewiele – pamięci i szacunku. Tymczasem... O królowej Jadwidze czy o Elżbiecie Rakuskiej kronikarze pisali: wielkie, święte. Ją zaś szlachta nazywała trucicielką, intrygantką, a nawet wiedźmą. Dlaczego?! Wszak uczyniła dla tego królestwa znacznie więcej niż one.

Widziała dobro Korony i dynastii z szerszej perspektywy niż wiecznie protestujące polskie koterie i tłumy szaraczkowej szlachty dbającej wyłącznie o własne sprawy. Czy to z tego powodu spotykała ją nienawiść? Czy raczej dlatego,

że tak bardzo różniła się charakterem od swych ukoronowanych poprzedniczek? A zwłaszcza od tej ostatniej, tak gorąco miłowanej przez króla – dobrodusznego, uczciwego, a w efekcie słabego według niej władcę olbrzymiego królestwa, jej własnego męża – Zygmunta z Jagiełłowego rodu.

– Królowa Bona? Wy ciągle tutaj? – niewyraźny szept wyrwał ją z zamyślenia.

Podерwała się z twardego krzesła, nachyliła nad rozbudzonym Zygmuntem.

– A gdzież miałabym być, mój panie? Zawsze u waszego boku, zawsze przy was – odpowiedziała z uśmiechem, który czynił starzejącą się twarz niemal tak piękną jak przed laty, w dniu ich ślubu.

Troskliwym gestem otarła mu czoło. Odrzuciwszy na posadzkę wilgotny od potu jedwab, skinęła niecierpliwym gestem na dwórkę, by czym prędzej podano jej puchar. Król bez słowa zanurzył spierzchnięte usta w czystej wodzie, ale nie upił więcej niż łyk. Ciężka głowa opadła mu na wysoko ułożone poduchy, na których się wspierał, bardziej siedząc, niż leżąc w łóżu od wielu dni.

– Nikt tak urzekająco nie potrafi mijać się z prawdą jak wy, królowo – mruknął z wysiłkiem, usiłując odwzajemnić jej uśmiech. – Wszelako i za to wdzięczni jesteśmy.

– Ja mijam się z prawdą? – szepnęła, dumnie unosząc ciemne brwi.

W poszarżałych oczach żony król dostrzegł niemiłe zaskoczenie. Kąciki jego mięsistych warg drgnęły w zupełnie szczerym rozbawieniu. Mocarne niegdyś ciało już dawno zaczęło odmawiać mu posłuszeństwa, lecz umysł wciąż miał jasny jak w młodości, gdy dzięki ślicznej nadwornej hafciarce uczył się rozpoznawać zadziwiające barwy niewieścich emocji. Dlatego wiedział, że najlepiej oszczędzić sobie wysiłku szukania właściwej odpowiedzi. Czuł, że nie ma już zbyt wiele czasu.

– Czy to noc jeszcze? – spytał, rozglądając się wokół.

– Nie, najjaśniejszy panie – odpowiedział prędko biskup Maciejowski. – Już świta. Wkrótce dzwony obwieszczą nowinę o zmartwychwstaniu naszego Zbawiciela.

– Tedy doczekaliśmy owego dnia – szepnął z wdzięcznością król. Przeżegnał się z trudem, a zgromadzeni w komnacie poszli w jego ślady. – Doktorze Solfa, patrzaj puls. – Przesunął rękę po białej jak śnieg pościeli w kierunku medyka skromnie stojącego z boku. – Rychło pójdziemy do Boga?

Proste a zaskakujące pytanie w jednej chwili uciszyło wszystkie szeptane modlitwy. Królowa zamarła. Stłoczone w mrocznym kącie królowny i dwórki zaszlochały cicho.

– Nie płaczcie, córuchny. Zostawiamy was przecie w silnych rękach królowej i waszego brata – napomniał je chrapliwym, ale łagodnym głosem. – Bogu Najwyższemu niech będą dzięki... za tę wielką łaskę – mówił z przerwami,

łapiąc oddech. – Pozwolił nam dożyć świątecznego dnia...  
Cóż tedy, doktorze?

Pobladły z emocji medyk nachylił się nad szerokim łóżem i drżącą ręką usiłował zbadać słaby puls pacjenta.

– Najjaśniejszy panie, serce bije miarowo, dobrze – odparł niepewnym głosem. – Lekki posiłek i sen wzmocniłyby siły Waszej Miłości. Niemoc tę da się pokonać. Przygotuję nowe leki na gorączkę.

Spod gęstych siwych brwi król posłał mu przyjazne spojrzenie, ale nie rzekł nic.

– Słyszeliście, panie mój? – wtrąciła się Bona. – Trzeba wam jeno zebrać siły i zmóc chorobę, jak wcześniej po wielokroć czyniliście – przekonywała, doskonale panując nad głosem. – Musicie to uczynić dla dobra królestwa. Dla mnie – dodała z naciskiem.

Król przez chwilę wodził wzrokiem po zmęczonej twarzy małżonki. Mimo upływu lat wciąż wydawała mu się ładna. Od wielu miesięcy nie widział jej z rozpuszczonymi włosami, a i tak miał pewność, że w jasnych jak len splotach schowanych pod ozdobnym czarnym czepeczkiem kryło się niewiele siwizny. Wiedział, że dopóki królowa będzie mogła działać, zmieniać i reformować, nie zestarzeje się tak szybko jak inne niewiasty. Miała w sobie drapieżność i dumę lwa, który jedynie dla niego zmieniał się czasem w potulnego kota. Dziękował Bogu za to, że w dramatycznym momencie życia postawił

u jego boku właśnie tę, a nie inną księżniczkę – ambitną mediolańską piękność.

Westchnął w duchu na myśl, że nie będzie już mógł jej wspierać ani dyskretnie chronić, jak to czynił przez ostatnich trzydzieści lat.

– Wasze barki są drobne, lecz silne, królowo. Udźwigną niejeden ciężar...

– Miłościwy panie! – z przyzwyczajenia zaprotestowała równie stanowczo, jak to zwykle czyniła w sporach z nim. Ponieważ w ciszy komnaty jej głos zabrzmiał zbyt ostro, umilkła speszona.

– Każda służba kiedyś się... – zaczął król spokojnie, ale nagle urwał. Jego uwagę przyciągnął jakiś niepozorny ruch w komnacie. Duszne powietrze ożywiło się powiewem wiosny, choć nikt nie rozchylił zielonych kotar.

Nieco zaskoczony zdał sobie sprawę, że jego stare oczy widzą znacznie wyraźniej niż jeszcze przed chwilą, jakby ktoś wpuścił do komnaty słoneczne światło. Nie musiał już mrużyć oczu, by przyglądać się zebrany. Przesunął wzrokiem po zasmuconych twarzach najbliższych mu dworzan, wielmożów i duchownych. Zauważył nawet ponurą minę wiernego Stańczyka wciśniętego w najdalszy i najciemniejszy kąt sali. A jednak gdy ktoś z tej gromady uklonił mu się z pewną nonszalancją, przez króciutki moment nie mógł pojąć, na kogo patrzy. Nagle zrozumiał. Wszędzie rozpoznalby ten pogodny, nieco zawadiacki uśmiech.



Krzysztofa Szydłowieckiego nie mógł pomylić z nikim innym.

Choć zaskoczony, król momentalnie rozchmurzył się na widok wiernego druha, przyjaciela z dzieciństwa, doradcy i szarej eminencji jego dworu.

– Najjaśniejszy panie? Co wam? – wyrwało się zdenrowanemu medykowi. Od razu zauważył nie tylko rumieńce wracające na bladą twarz pacjenta, lecz także jego nienaturalnie rozszerzone źrenice i spłycony oddech.

– To nic takiego, doktorze – uspokoił go król. – Ot, wspomnienie z dawnych lat. Kanclerzu...

– Słucham, najjaśniejszy panie.

– Chcielibyśmy zostać przez chwilę sam na sam z rodziną – oświadczył.

Zebrani w komnacie spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Czy wszyscy mają wyjść, Wasza Wysokość? – upewnił się kanclerz.

– Tak. Jenó nasz spowiednik, Wit, niechże zostanie przy nas. On zna wszystkie sekrety naszej duszy.

– Wedle waszej woli, najjaśniejszy panie.

Skłoniwszy głowy przed królem, dostojnicy jeden za drugim przeszli do sąsiedniej izby, gdzie czekał gęstniejący od świtu tłum dworzan.

Dopiero gdy w komnacie zrobiło się niemal pusto, popłakujące królowny rzuciły się całować ojcowską dłoń. Wreszcie nie musiały hamować przed dworem swojej

żałości. W tym momencie nawet surowa matka nie powstrzymałaby ich przed tym mało dostojnym zachowaniem.

– Cicho, córuchy. Nie trzeba – mówił wzruszony, gładząc dorosłe już królowy po jasnych głowach niczym małe dziewczynki. – Anno, Katarzyno, Zofio. Żal, że nie ma tu jeszcze Izabeli i Jadwisi... Pamiętajcie, żeście ozdobą tego królestwa. Ozdobą i tarczą. Dawniej dzięki mądrym mariażom granice Korony ochraniały moje siostry. Teraz wasza kolej. Królowa zatroszczy się... – Umilkł po raz kolejny, spoglądając na coś za plecami wyraźnie poruszonej żony.

Z trudem powstrzymał się przed szerokim uśmiechem, który cisnął mu się na spieczoną gorączką usta. Zachował umiar tylko ze względu na szlochające królowy, bo niełatwo byłoby im pojąć jego nagłą radość.

Tak dawno nie widział swoich ukochanych siostr, a teraz miał je tutaj wszystkie! Młodsze, najbardziej miłe jego sercu – Barbarka, Anula i Elżbietka – stały tuż za królową Boną. Tak śliczne, jak je zapamiętał sprzed lat. Z tyłu zaś komnaty dostrzegł dwie starsze: Jadwigę i Zofię. Gdy obok nich zobaczył Olbrachta i Aleksandra, zorientował się, że w jego sypialni niespodziewanie zrobiło się tłoczniej. Ten widok go uradował.

Przy dębowym stole siedział z pogodną miną młodszy brat, Fryderyk, w kardynalskich szatach. Pierworodny Jan z Książąt Litewskich, trzymając za rękę przyrodnią siostrzyczkę Annę, powitał rozrzewnionego ojca uśmiechem,

w którym odbijała się uroda jego matki. Dwie śliczne dygające przed nim panny okazały się najstarszymi córkami: Reginą Szafrancową i Kasią, hrabiną Montfort. Jakby tych wzruszeń było mało, węgierski król Władysław pomachał do niego z braterską poufałością od strony okna, a zza jego pleców wychylił się królewicz Kazimierz o twarzy jaśniejącej niezwykłym blaskiem.

– Kaziku, bracie... – szepnął król niewyraźnie, wywołując niepokój żony. Raptem zauważył kogoś jeszcze.

Ukryta początkowo w cieniu centralnej kolumny postać weszła w krąg światła. Dygnęła przed nim figlarnie, a Zygmunt westchnął zachwycony.

Jej złociste włosy lśniły jak dawniej w pełnym słońcu gorącego dnia w wawelskiej winniczce i niczym korona zdobiły jego śliczną hafciareczkę, jego Katarzynę. Nie zdziwił się, że znów miała siedemnaście lat.

– Panie mój, małżonku! – W głosie Bony dało się słyszeć zdenerwowanie, co przywróciło królowi trzeźwość myślenia. Zwykle gdy podniesiony głos żony przerywał mu ulubioną zadumę, oznaczało to kłopoty. Na moment zapomniał, że nie musi się tym dłużej przejmować. – Czy wam gorzej? Wezwać medyka? – dopytywała, szorstko odsuwając zapłakane córki od łoża. Wyraźnie traciła nad sobą panowanie.

– Nie, królowo. Już dawno nie czułem się tak... tak błogo, spokojnie. Rad jestem, żeście wszyscy przy mnie. Tak



DRUGI TOM HISTORYCZNEGO CYKLU O JAGIELLONACH  
„SERCE W KORONIE”

Piąty z królewskich synów, Zygmunt Jagiellończyk, od wczesnej młodości miał tylko dwa marzenia. Pragnął założyć szczęśliwą rodzinę i osiąść z nią we własnym księstwie. Po latach tułaczego życia los zaczął mu sprzyjać. Udany związek ze śliczną Kasią – hafciarką królowej – pozwolił mu poznać uroki ojcostwa. Natomiast dzięki wsparciu brata Władysława mógł wreszcie zamieszkać „u siebie” – w księstwie głogowskim. Pozory szczęścia uśpiły jednak czujność księcia. Zbyt późno zrozumiał, że przewrotny los chciał włożyć na jego barki o wiele cięższe brzemie niż mógłby przypuszczać. Lecz to nie zimny metal korony miał mu sprawić najwięcej cierpienia, nawet nie intrygi czy knowania wrogów. To serce – szczerze i spragnione miłości rycerskie serce – właśnie ono stało się polem najtrudniejszej bitwy, jaką przyszło stoczyć Zygmuntowi: synowi, bratu, ojcu, mężowi i kochankowi. Jednemu z najdłużej panujących polskich władców.



**FILIA**

cena 49,90 zł

wydawnictwofilia.pl



ISBN 978-83-8357-317-5



9 788383 573175